

Dorian Vale

Kupiec ostatniego jutra

Handlarz przyszłością sprzedaje dzień, w którym
miała umrzeć jego córka. Ktoś przychodzi odebrać dług.



Kupiec ostatniego jutra

Handlarz przyszłością sprzedaje dzień, w którym miała umrzeć jego córka. Ktoś przychodzi odebrać dług.

Dorian Vale

FANTASY

ALL-IN Rafał Płonkowski
2026
ISBN 9788384833728

SPIS TREŚCI

INTRO.....	4
Rozdział 1 - Cena zwykłego dnia.....	10
Rozdział 2 - Kobieta bez wczoraj.....	24
Rozdział 3 - Pierwsza zmiana.....	42
Rozdział 4 - Więź.....	57
Rozdział 5 - Miasto jako zabezpieczenie.....	80
Rozdział 6 - Fundusz ostatniego jutra.....	94
Rozdział 7 - Dług miasta.....	115
Rozdział 8 - To, czego nie można wycenić.....	130
Rozdział 9 - Kotwica pod podłogą.....	148
Rozdział 10 - Ostatnie jutro.....	163
Rozdział 11 - Prawo sprzeciwu.....	181
Rozdział 12 - Dzień, którego nie było.....	193
Rozdział 13 - Cena sprzeciwu.....	209
Rozdział 14 - Strona umowy.....	224
Rozdział 15 - Cztery prawa.....	243
Rozdział 16 - To, co zostaje po ogniu.....	259
Rozdział 17 - Przeciwnik bez twarzy.....	276
Rozdział 18 - Miejsce pierwszej sprzedaży.....	288
Rozdział 19 - Rozliczenie źródłowe.....	307
Rozdział 20 - Jutro bez właściciela.....	323

INTRO

Taren Voss wiedział, że jego córka umrze jutro, ponieważ trzy osoby wyceniły jej śmierć dokładnie na osiemdziesiąt siedem koron.

Pierwszy był medykiem z południowej dzielnicy, który obejrzał sine plamy pod jej paznokciami, posłuchał nierównego oddechu i powiedział, że gorączka weszła już zbyt głęboko.

Drugi był kapłanem ze Świątyni Ostatniej Godziny. Nie próbował jej leczyć. Położył tylko dwa palce na czole dziesięcioletniej Liny i przez chwilę nasłuchiwał czegoś, czego Taren nie potrafił usłyszeć.

- Do świtu jeszcze będzie z tobą - powiedział kapłan. - Później już nie.

Trzeci człowiek był kupcem.

I tylko on zaproponował cenę.

Nazywał się Orven Sahr i prowadził kantor przyszłości w piwnicy domu bez numeru, w zaułku, którego nie zaznaczano na miejskich planach. Taren znał to miejsce od lat. Sam przez jego drzwi przeprowadzał klientów bogatszych od siebie, biedniejszych od siebie i znacznie bardziej zdesperowanych.

Nigdy jednak nie sądził, że pewnego dnia usiądzie po drugiej stronie stołu.

Orven położył przed nim cienką płytkę ze srebrzystego szkła. Jej powierzchnia była matowa, dopóki kupiec nie dotknął jej kciukiem. Wtedy pojawiła się data.

Jutro.

Bez nazwy miesiąca, bez roku, bez godziny.

W handlu przyszłością szczegóły czasem kosztowały więcej niż sama przyszłość.

- To jej dzień? - zapytał Taren.

Orven nie odpowiedział od razu. Miał zwyczaj pozwalać ciszy pracować za niego. Klienci zwykle zaczynali wtedy mówić za dużo, a człowiek, który mówi za dużo przy stole handlowym, zawsze tracił.

Taren znał tę zasadę.

Tego wieczoru nie miała znaczenia.

- Pytam, czy to dzień jej śmierci.

- Tak.

W kominku za plecami Orvena pękło polano.

Taren patrzył na płytkę.

- Jeśli go sprzedam?

- Nie będzie już należał do niej.

- To nie jest odpowiedź.

- To jedyna odpowiedź, jaką mogę ci dać.

Taren zacisnął dłonie pod stołem. Jeszcze rano potrafił targować się o ładunek pieprzu przez trzy godziny, aż właściciel karawany przeklinał dzień, w którym nauczył się mówić. Potrafił rozpoznać fałszywe złoto po ciężarze monety spoczywającej na paznokciu. Widział kontrakty zawierane krwią, wspomnieniami, nazwiskami i latami życia.

Przyszłość była jednak innym towarem.

Nie można było jej obejrzeć.

Można było jedynie zobaczyć cenę.

- Kto kupuje?

Orven uniósł wzrok.

- Nie powinienes o to pytać.

- Zapytałem.

- A ja ci odpowiadam jako człowiek, który nadal chce z tobą handlować. Nie pytaj.

Taren odchylił się na krzesło. Ze stropu zwisała pojedyncza lampa. Płomień pod szkłem palił się nierówno, choć w piwnicy nie było przeciągu.

- Osiemdziesiąt siedem koron - powiedział. - Za dzień życia mojej córki?

- Nie.

Orven przesunął płytkę bliżej niego.

- Za jej jutro.

Różnica powinna była go zainteresować. W każdym innym kontrakcie zatrzymałby się właśnie na takim słowie.

Za jej jutro.

Nie za życie.

Nie za śmierć.

Nie za ocalenie.

Ale na piętrze, kilka ulic dalej, Lina oddychała tak cicho, że Taren co kilka minut pochylał się nad łóżkiem, żeby sprawdzić, czy jej pierś jeszcze się unosi.

- Co stanie się rano?

- Jeżeli transakcja zostanie przyjęta, nic z tego, co miało wydarzyć się jej jutro, nie będzie już do niej należało.

- Przeżyje?

Orven milczał.

Taren uderzył otwartą dłońią w stół.

- Przeżyje?
- Prawdopodobnie.

To słowo kosztowało więcej niż osiemdziesiąt siedem koron.

Taren poczuł, jak coś zimnego zaciska mu się wokół żołądka.

- Prawdopodobnie?
- Handlujemy przyszłością, Taren. Nie bogami. Nie stwarzamy dni. Nie leczymy chorób. Nie cofamy śmierci. Przenosimy prawo do tego, co jeszcze nie nastąpiło.

- Więc kupujący dostanie jej śmierć?

Tym razem Orven spojrzał mu prosto w oczy.

- Kupujący dostanie jej jutro.

Taren powinien był wstać.

Powinien był wrócić do domu i spędzić ostatnie godziny przy łóżku córki. Powinien był trzymać ją za rękę, kiedy nadejdzie świt, i nie pozwolić, żeby ostatnią rzeczą, jaką zobaczy, był sufit przesiąknięty dymem z ulicznych palenisk.

Zamiast tego zapytał:

- Gdzie podpisuję?

Orven przez chwilę wyglądał na starszego, niż był naprawdę.

Wyjął spod stołu księgę oprawioną w ciemną skórę.

- Nie podpisujesz.
- Każdy kontrakt wymaga podpisu.
- Nie ten.

Kupiec otworzył księgę na pustej stronie. Położył na niej srebrzystą płytkę, a potem niewielki mosiężny nóż.

- Potrzeba kropli krwi osoby, która ma prawo sprzedać przyszłość dziecka.

Taren spojrzał na ostrze.

- Jestem jej ojcem.

- Dlatego tu siedzisz.

Naciął kciuk.

Krew spadła na płytkę i nie rozpułynęła się po powierzchni. Wsiąkała w szkło, jakby spadała w bardzo głęboką wodę.

Data zniknęła.

Przez moment Taren widział tylko własne odbicie.

Potem pojawiły się trzy słowa.

SPRZEDAŻ PRZYJĘTA.

Orven gwałtownie zamknął księgę.

Lampa nad stołem zgasła.

Taren usłyszał własny oddech i daleki stuk kół na ulicy ponad nimi.

- To wszystko? - zapytał.

- Nie.

Orven odsunął się od stołu.

Pierwszy raz od czasu, kiedy Taren go znał, w jego głosie pojawił się strach.

- Musisz zapamiętać jedną rzecz.

- Jaką?

Kupiec spojrzał na ciemną płytkę.

- Przyszłość nie znika tylko dlatego, że ktoś ją sprzedał.

Taren czekał.

- Zmienia właściciela - dokończył Orven.

Nad ranem gorączka Liny ustąpiła.

Otworzyła oczy krótko po wschodzie słońca i poprosiła o wodę. Przed południem zjadła pół kawałka chleba. Wieczorem sama usiadła na łóżku.

Trzy dni później medyk nazwał jej wyzdrowienie cudem.

Taren nie poprawił go.

Nie powiedział nikomu o kantorze, srebrzystej płytce ani o dniu, który przestał należeć do jego córki.

Przez następne dziewięć lat przekonał samego siebie, że cena została zapłacona.

Aż pewnego zimowego wieczoru ktoś zapukał do jego drzwi trzy razy.

Kiedy Taren otworzył, na progu stała kobieta w szarym płaszczu. Nie miała broni ani bagażu. W dłoni trzymała tylko kawałek srebrzystego szkła.

Na jego powierzchni widniała data sprzed dziewięciu lat.

Dzień, w którym Lina Voss miała umrzeć.

- Taren Voss? - zapytała.

Nie odpowiedział.

Kobieta odwróciła płytkę.

Po drugiej stronie znajdowało się jedno słowo.

DŁUG.

- Przyszłam po jutro, które sprzedałeś - powiedziała.

Rozdział 1 - Cena zwykłego dnia

Przez dziewięć lat Taren Voss budował swoje życie wokół założenia, że najgorsza rzecz, jaką zrobić, była jednocześnie najlepszą.

To założenie miało solidne fundamenty.

Lina żyła.

Tego ranka siedziała przy stole w jego kantorze, miała dziewiętnaście lat, plamę atramentu na bocznej części dłoni i minę człowieka, który właśnie odkrył błąd wart więcej, niż większość mieszkańców dolnego miasta zarabiała przez miesiąc. Przesunęła księgę rachunkową w stronę ojca, stuknęła palcem w jedną z kolumn i powiedziała:

- Jeśli zapłacisz Jermowi tyle, ile tu wpisał, oskubie cię na siedemnaście koron.

Taren nawet nie podniósł wzroku znad listu przewozowego.

- Jedenaście.
- Siedemnaście.
- Jedenaście, jeśli umiesz czytać jego pismo.
- Umiem czytać liczby. To zwykle wystarcza.
- Jerm pisze siódmkę jak jedynekę.

Lina nachyliła się nad księgą, zmrużyła oczy, po czym westchnęła.

- Nienawidzę ludzi, którzy mają własne zasady dla cyfr.
- Dlatego handel jest ciekawszy od kaptaństwa.
- W kaptaństwie też mają własne zasady dla cyfr. Nazywają je ofiarami.

Taren uśmiechnął się, zanim zdążył się powstrzymać.

Tak wyglądały ich poranki od dwóch lat, odkąd Lina zaczęła regularnie pomagać mu w kantorze. Nie był to kantor taki jak ten, do którego Taren zaprowadził kiedyś własną rozpacz. Na frontowej szybie nie sprzedawano jutra, śmierci ani wydarzeń, które jeszcze nie nadeszły. Widniał na niej zwykły napis: VOSS - WEKSLE, UBEZPIECZENIA, TOWARY W DRODZE.

Przynajmniej oficjalnie.

Nieoficjalnie Taren potrafił wycenić także rzeczy trudniejsze.

Ryzyko straty statku.

Prawdopodobieństwo, że karawana z północy dotrze przed zamknięciem przełęczy.

Szansę, że młody książę rzeczywiście poślubi córkę gubernatora, zanim rynek zdąży podnieść ceny zboża.

Nie potrzebował do tego magii. Wystarczały plotki, cierpliwość, kontakty i świadomość, że ludzie częściej zdradzają przyszłość ruchem pieniędzy niż słowami.

Prawdziwy handel przyszłością był czymś innym.

O nim nie rozmawiał nawet z Liną.

Zwłaszcza z Liną.

- Ktoś przyszedł wieczorem? - zapytała nagle.

Dłoń Tarena zastygła nad dokumentem.

- Dlaczego pytasz?

- Bo zamek przy drzwiach jest porysowany.

Spojrzał w stronę wejścia.

Rysa była niewielka, ledwie jaśniejsza kreska przy mosiężnej tarczy. Sam zauważył ją o świcie. Kobieta w

szarym płaszczu nie weszła poprzedniego wieczoru do domu. Po wypowiedzeniu słów o długu oddała mu płytkę i odeszła bez pośpiechu, jakby wyznaczyła termin płatności, a nie przyniosła wiadomość z przeszłości.

Taren nie spał później ani minuty.

- Dostawca - skłamał.

Lina popatrzyła na niego.

Po matce odziedziczyła zdolność milczenia w taki sposób, że człowiek zaczynał poprawiać własne kłamstwa, zanim zdążył je dokończyć.

- Dostawcy zwykle korzystają z kołatki - powiedziała.

- Ten był źle wychowany.

- I przyszedł po zmroku?

- Lina.

- Dobrze.

Wróciła do księgi.

Tarenowi nie spodobało się, jak łatwo ustąpiła.

Otworzył szufladę pod ladą i poczuł pod palcami chłód srebrzystego szkła.

Płytką wyglądała dokładnie tak samo jak dziewięć lat temu.

Nie była porysowana.

Nie zmatowiała.

Nie zmieniała ciężaru.

Po jednej stronie widniała data dnia, który sprzedał. Po drugiej słowo DŁUG.

Próbował wszystkiego jeszcze przed świtem. Ogrzał szkło nad płomieniem. Zanurzył je w solance. Posypał

sproszkowaną kredą używaną przez notariuszy do wykrywania zmienionych pieczęci. Nic. Słowo nie reagowało.

Najgorsze było to, że rozpoznawał wykonanie.

Nie konkretnego twórcę. Technikę.

Płytki przyszłości nie powstawały ze zwykłego szkła. Ich rdzeń wyrabiano z piasku wydobywanego w miejscach, gdzie według starych opowieści rzeczywistość była cieńsza, jakby świat pamiętał kilka wersji samego siebie naraz. Taren przez lata uważał te opowieści za bajki powtarzane klientom, aby usprawiedliwić ceny.

Później zobaczył datę śmierci własnego dziecka.

Od tamtej chwili przestał śmiać się z bajek.

- Idę do Gildii - powiedział.

Lina uniosła głowę.

- Mielśmy razem sprawdzić skład na Nabrzeżu Trzecim.

- Przesuń.

- Wczoraj mówiłeś, że jeśli nie sprawdzimy go dziś, Halven przepchnie uszkodzoną partię jako pełnowartościową.

- Więc idź sama.

Przez moment w jej twarzy pojawiło się coś pomiędzy zaskoczeniem a satysfakcją.

Taren niemal natychmiast pożałował słów.

Lina od kilku miesięcy domagała się własnych zleceń. Nie chciała już przepisywać rachunków ani siedzieć obok podczas negocjacji. Chciała negocjować.

- Sama? - upewniła się.

- Masz oczy. Masz księgi. Wiesz, czego szukać.

- A jeśli Halven będzie próbował mnie oszukać?

- Będzie.

- To niewiele pomaga.

- Jeśli od razu zauważysz oszustwo, nie mów mu. Pozwól mu opowiadać. Ludzie przyłapani za szybko zaczynają się bronić. Ci, którzy są przekonani, że wygrywają, pokazują ci wszystkie słabe miejsca.

Lina przymknęła księgę.

- Czyli mam pozwolić mu kłamać.

- Masz pozwolić mu inwestować w kłamstwo.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Teraz brzmisz jak ojciec.

- To miało być obraźliwe?

- Trochę.

Taren wyjął z kasetki pięć koron na wydatki i podał jej klucz do magazynu.

Palce Liny zacisnęły się na metalu.

Nagle zobaczył inną dłoń.

Małą. Rozpaloną gorączką. Leżącą bezwładnie na pościeli dziewięć lat wcześniej.

Natychmiast cofnął rękę.

- Wszystko dobrze? - zapytała.

- Tak.

- Wyglądasz, jakbyś chciał odebrać klucz.

Chciał.

Chciał zamknąć ją w domu, zabarykadować drzwi i zatrzymać wszystkie możliwe jutra na zewnątrz.

Zamiast tego powiedział:

- Jeśli Halven proponuje ci wino, nie pij.
- Bo mnie otruje?
- Bo jego wino jest gorsze od trucizny.

Lina zaśmiała się i schowała klucz.

Dopiero gdy wyszła, Taren zdał sobie sprawę, że obserwował ją do ostatniej chwili, jakby samo spuszczenie jej z oczu mogło uruchomić mechanizm starego kontraktu.

Gildia Kupców mieściła się w górnej części miasta, gdzie domy nie walczyły już o każdy łokieć miejsca, a ulice były na tyle szerokie, żeby dwa powozy mogły minąć się bez targowania o pierwszeństwo. Taren szedł pieszo. Potrzebował ruchu bardziej niż wygody.

Miasto Avenor budziło się wokół niego.

Na Targu Miedzianym sprzedawcy rozstawiali ciężkie płachty nad straganami. Wozy z portu wiozły beczki ryb i oliwy. Na skrzyżowaniu poborca miejski kreślił kredą znaki na skrzyniach, których właściciele uiścili opłatę. Wszystko miało cenę, termin, właściciela i konsekwencję.

Taren zawsze lubił tę przewidywalność.

Dziś wydawała mu się naiwna.

Gildia zajmowała dawny pałac celny. W głównej sali pod marmurową posadzką biegły cienkie mosiężne linie, tworzące mapę najważniejszych szlaków handlowych. Na ścianie wisiała ogromna tablica z cenami zbóż, metali i ubezpieczeń transportowych, zmienianymi dwa razy dziennie.

Taren nie zatrzymał się przy niej.

Zszedł na najniższy poziom.

Tam nie było marmuru.

Archiwum Kontraktów Nadzwyczajnych pachniało kurzem, olejem i kwaśnym atramentem. Większość kupców nigdy tu nie zaglądała. Oficjalnie przechowywano tu umowy dotyczące dziedziczenia udziałów, wykupu zobowiązań po śmierci i sporów o własność dóbr, których nie dało się łatwo zważyć.

Nieoficjalnie Gildia od pokoleń katalogowała transakcje dotyczące czasu.

Za pulpitem siedział Iven Marr, niski mężczyzna z włosami tak białymi, że wyglądały jak posypane mąką.

- Voss - powiedział, zanim Taren zdążył się odezwać. - Jeśli przyszedłeś znowu szukać księgi Sahra, odpowiedź się nie zmieniła.

Taren zatrzymał się.

- Byłem tu raz.

- Sześć lat temu.

- Pamiętasz wszystkich klientów?

- Pamiętam tych, którzy pytają o rzeczy, o które rozsądni ludzie nie pytają.

Taren usiadł naprzeciwko.

- Orven Sahr żyje?

Marr przechylił głowę.

- Interesujące.

- Co?

- Sześć lat temu pytałeś o jego rejestry. Dziś pytasz, czy żyje.

- Odpowiesz?

- Nie wiem.
- Gildia zawsze wie, kiedy umiera jej członek.
- Sahr przestał być członkiem zanim zniknął.

To była nowość.

- Zniknął?

Marr odłożył pióro.

- Pięć lat temu. Kantor zamknięto. Dokumenty skonfiskowano, a potem połowa z nich zniknęła przed inwentaryzacją. Było dochodzenie. Bez rezultatu.

- Kto je prowadził?
- Dlaczego cię to interesuje?

Taren wyjął płytkę.

Nie położył jej na stole. Pokazał jedynie krawędź spod płaszcza.

Efekt był natychmiastowy.

Marr przestał oddychać na sekundę.

- Schowaj to.
- Znasz ten rodzaj?
- Schowaj.

Taren wsunął płytkę z powrotem.

Archiwista rozejrzał się po sali. Przy odległych regałach pracowało dwóch skrybów, ale żaden nie zwracał na nich uwagi.

- Skąd ją masz?
- Ktoś przyniósł mi ją wczoraj.
- Kto?
- Kobieta.

- Nazwisko?

- Nie podała.

Marr ściszył głos.

- Powiedziała coś?

- Że przyszła odebrać dług.

Archiwista zamknął oczy.

- Co sprzedałeś?

Taren milczał.

Marr spojrzał na niego z irytacją.

- Jeśli pokazałeś mi wezwanie nabywcy, to albo jesteś głupcem, albo desperatem. W obu przypadkach oszczędź mi teatru.

- Jutro.

- Czyje?

- Mojej córki.

W sali coś stuknęło. Jeden ze skrybów przewrócił metalowy pojemnik na pieczęcie.

Marr pobladł.

- Kiedy?

- Dziewięć lat temu.

- Ile miała lat?

- Dziesięć.

- Sprzedałeś przyszłość niepełnoletniej.

- Umierała.

- Nie pytam dlaczego. Pytam, czy rozumiałeś, co sprzedajesz.

- Sahr powiedział, że jeśli oddam dzień jej śmierci, ten dzień przestanie do niej należeć.

- To prawda.

- Przeżyła.

- Widocznie.

Taren pochylił się.

- Wczoraj ktoś przyniósł mi ten dzień z powrotem.

- Nie. - Marr potrząsnął głową. - Nie przyniósł ci dnia.

- Na płytce jest data.

- Data identyfikuje przedmiot umowy. Słowo po drugiej stronie identyfikuje roszczenie.

- Jaka różnica?

Marr wstał.

- Chodź.

Poprowadził Tarena między regałami aż do ciężkich drzwi w tylnej ścianie. Otworzył trzy zamki, zapalił lampę i wpuścił go do niewielkiego pomieszczenia wypełnionego metalowymi szafkami.

Z jednej wyjął księgę.

Nie była oprawiona w skórę. Miała cienkie miedziane okładki i ciemne kartki.

- Handel przyszłością nie polega na usuwaniu wydarzeń - powiedział Marr. - To wie każdy licencjonowany faktor czasu.

- Orven użył prawie tych samych słów.

- Więc przynajmniej raz był uczciwy. Pomyśl o przyszłości jak o prawie do następstwa. Jeśli sprzedajesz dzień, sprzedajesz wszystkie możliwości przypisane do

konkretnego odcinka życia. Nabywca może je zachować, wymienić, czasem wykorzystać jako zabezpieczenie innej umowy.

- Jak można wykorzystać cudzy dzień?

- Zwykle nie można. Dlatego rynek nie handluje przypadkowymi wtorkami.

- Ale ktoś kupił jej śmierć.

- Kupił dzień, w którym miała umrzeć. To nie to samo.

Taren poczuł pierwszą prawdziwą falę strachu od chwili wizyty kobiety.

- Więc czego chce?

Marr otworzył księgę. Kartki były zapisane drobnym pismem.

- Jeżeli pierwotna przyszłość nie może zostać wykonana na osobie, do której należała, nabywca może dochodzić równowartości.

- Osiemdziesięciu siedmiu koron?

Archiwista spojrzał na niego ze smutkiem.

- Nie ceny.

Przewrócił stronę.

- Wartości.

- Jaka jest wartość jednego dnia?

- Zależy od tego, co się w nim znajduje.

Taren patrzył na niego bez słowa.

Marr dotknął palcem akapitu.

- Jeśli dzień zawierał śmierć, jego wartością była śmierć.

Przez chwilę Taren słyszał tylko cichy trzask lampy.

- Czyja?
 - To ustala kontrakt.
 - Nie widziałem kontraktu.
 - Oczywiście, że nie. Byłeś sprzedawcą aktywa. Nie stroną nabywczą.
 - Jestem jej ojcem.
 - Byłeś jej prawnym dysponentem. To wystarczyło do sprzedaży. Nie dawało ci prawa znać nabywcy.
- Taren zacisnął zęby.
- Chcę zobaczyć rejestr Sahra.
 - Powiedziałem ci, że zniknął.
 - Powiedziałeś, że połowa dokumentów zniknęła.
 - A druga połowa jest zapieczętowana decyzją Rady Gildii.
 - Otwórz ją.
- Marr niemal się roześmiał.
- Nie.
- Taren położył na stole pięć złotych koron.
- Archiwista zerknął na nie.
- Obrażasz mnie kwotą czy samą propozycją?
- Taren dołożył kolejne pięć.
- Marr przesunął monety z powrotem.
- Posłuchaj mnie. Jeśli dostałeś wezwanie, nabywca wie, gdzie jesteś. Jeżeli zaczniesz oficjalnie szukać dokumentów, dowie się również, czego nie wiesz.
 - Już wie, że nie wiem prawie nic.
 - Nie zakładaj tego.

Taren wstał.

- Więc mam wrócić do domu i czekać?

- Masz ustalić termin egzekucji.

- Kobieta go nie podała.

Marr spojrzał na niego ostro.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Wezwanie bez terminu nie ma wartości prawnej.

Taren wyjął płytkę ponownie.

Położył ją na miedzianej księdze.

Słowo DŁUG nadal widniało pośrodku.

Marr zbliżył lampę.

- Odwróć.

- Data jest po drugiej stronie.

- Nie o to chodzi. Połóż ją poziomo.

Taren wykonał polecenie.

Archiwista przetarł powierzchnię kawałkiem czarnego filcu.

Pod słowem pojawiła się cienka linia.

Potem litery.

DO ZACHODU TRZECIEGO SŁOŃCA.

Taren policzył bezwiednie.

Kobieta przyszła wczoraj.

- Zostały dwa dni - powiedział.

- Mniej. Pierwszy termin rozpoczął się w chwili doręczenia.

Taren schował płytkę.

Marr zamknął księgę.

- Wyjedź z córką z miasta.

Taren spojrzał na niego.

- Przed chwilą powiedziałeś, że nabywca wie, gdzie jestem.

- Wie.

- Więc co zmieni wyjazd?

- Być może nic.

- To nie rada.

- To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Nie.

Taren podszedł do drzwi, lecz zamiast wyjść, odwrócił się.

- Kto prowadził dochodzenie po zniknięciu Sahra?

Marr nie odpowiedział.

- Iven.

- Inspektor Gildii. Nazywała się Mara Edevane.

- Gdzie ją znajdę?

- Nie znajdziesz.

- Nie żyje?

- Żyje. To gorsze.

Taren zmarszczył brwi.

- Co to znaczy?

Marr zgasił lampę.

- Że trzy lata temu sprzedała własne nazwisko.

Rozdział 2 - Kobieta bez wczoraj

Taren wrócił do kantoru godzinę później i od razu wiedział, że coś się wydarzyło.

Lina była już na miejscu.

Stała za ladą, ale nie przeglądała ksiąg. Klucz do magazynu leżał przed nią obok małej drewnianej skrzynki. Miała ręce skrzyżowane na piersi.

- Halven próbował mnie oszukać - powiedziała.

Taren zamknął drzwi.

- Ile?

- Dwadzieścia trzy korony.

- Czyli drożej, niż przewidywałem.

- Miałeś rację. Pozwoliłam mu kłamać.

- I?

- Kłamał przez bardzo długi czas.

- To ma w zwyczaju.

- Potem pokazałam mu pęknięcia na sześciu skrzyniach i pleśń pod płótnem w dwóch następnych.

- Co powiedział?

- Że to sól.

- W drewnie?

- Też mnie to zastanowiło.

Taren zdjął płaszcz, starając się nie patrzeć na nią zbyt długo.

Zdążył już podjąć decyzję podczas drogi z Gildii.

Nie wyjedzie z miasta.

Nie dlatego, że Marr miał rację. Po prostu ucieczka była transakcją zawartą bez znajomości ceny. Taren nie miał pojęcia, czy termin roszczenia działał niezależnie od miejsca, czy też opuszczenie Avenoru nie zostałoby uznane za próbę zerwania umowy.

Najpierw musiał dowiedzieć się, co dokładnie sprzedano.

Potem znajdzie sposób, aby to odkupić.

Każdy towar miał cenę.

Musiło tak być.

- Wynegocjowałam obniżkę o trzydzieści jeden - powiedziała Lina.

Taren zamrugął.

- Trzydzieści jeden?

- I pokryje transport wadliwej partii z powrotem.

- Jak?

- Powiedziałam, że jeśli odmówi, zaniósę próbkę do inspektora portowego.

Taren pokiwał głową.

- Dobrze.

Lina patrzyła na niego.

- Tylko dobrze?

- Bardzo dobrze.

- A teraz powiesz mi, co się dzieje?

- Nic.

- Źle kłamiesz.

- Zarabiam na życie dzięki kłamcom.

- Właśnie dlatego powinienes być lepszy.

Taren podszedł do półki i zaczął bez potrzeby przekładać dokumenty.

- Muszę dziś załatwić jeszcze jedną sprawę.
- Znowu beze mnie.
- To prywatne.
- Twoje prywatne sprawy od rana wpływają na interes.
- Lina.
- Nie jestem dzieckiem.

Te słowa trafiły dokładnie tam, gdzie nie powinny.

Taren odwrócił się.

Dziewięć lat wcześniej miał prawo sprzedać jej przyszłość właśnie dlatego, że była dzieckiem.

- Wiem - powiedział ciszej.

Lina zmarszczyła brwi. Najwyraźniej spodziewała się sprzeczki.

- W takim razie przestań zachowywać się, jakbym miała dziesięć lat.

Taren poczuł, jak serce uderza mu mocniej.

Czy coś wiedziała?

Niemożliwe.

Nigdy jej nie powiedział.

Po chorobie Lina pamiętała niewiele. Kilka dni gorączki zlało się w jej wspomnieniach w ciemne obrazy: mokre ręczniki, medyka, jego głos. Nie pamiętała kapłana. Nie pamiętała Orvena. Nie mogła pamiętać kontraktu, bo Taren zawarł go bez niej.

- Masz rację - powiedział.

Lina uniosła brwi.

- To podejrzane.
- Co?
- Zgodziłeś się ze mną po pierwszym zdaniu.
- Nie przyzwyczajaj się.

Oparł dłonie o ladę.

- Zamknij dziś wcześniej. Po południu nie przyjmuję nowych kontraktów.

- Dlaczego?
- Bo cię o to proszę.
- To nie jest odpowiedź.
- Dzisiaj musi wystarczyć.

Patrzyła na niego jeszcze chwilę, po czym skinęła głową.

Taren nienawidził tej zgody bardziej niż kłótni.

Mara Edevane mieszkała w Dzielnicy Popiołu.

Zdobycie adresu kosztowało Tarena więcej niż łąpówka dla Marra i znacznie mniej niż mogło kosztować niewłaściwe pytanie. Znalazł byłego kancelistę Gildii, który obecnie prowadził skład papieru na ulicy Rymarzy. Człowiek nie pamiętał Mary Edevane. Pamiętał natomiast inspektorę, która trzy lata wcześniej straciła nazwisko.

Tak właśnie działało sprzedawanie rzeczy, których ludzie nie powinni sprzedawać.

Świat nie zapominał, że ktoś istniał.

Zapominał jedynie, jak go nazwać.

Dzielnica Popiołu leżała na zachodnim skraju Avenoru, za dawnymi piecami ceramicznymi. Wiatr prawie zawsze niósł tam pył z manufaktur, osiadający na dachach i parapetach

cienką szarą warstwą. Dom, którego szukał, był wąski, trzypiętrowy i miał czerwone drzwi bez kołatki.

Zapukał.

Nic.

Zapukał ponownie.

- Jeśli sprzedajesz religię, mam już trzy - odezwał się kobiecy głos zza drzwi.

- Szukam Mary Edevane.

Zapadła cisza.

Zamek szczękął.

Drzwi uchyliły się na szerokość dłoni.

Kobieta po drugiej stronie miała około pięćdziesięciu lat, krótkie siwe włosy i bliznę biegnącą od lewego ucha do podstawy szyi. Spojrzała na Tarena, potem na ulicę za nim.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Podobno kiedyś je nosiłaś.

Drzwi zaczęły się zamykać.

Taren wsunął but między próg a skrzydło.

- Orven Sahr.

Drzwi zatrzymały się.

- Zdejmij nogę.

- Najpierw mnie wysłuchaj.

- Zdejmij nogę albo ją złamię. Nie muszę pamiętać nazwiska, żeby pamiętać anatomię.

Taren cofnął stopę.

Drzwi pozostały uchylone.

- Sahr zniknął pięć lat temu - powiedział. - Prowadziłaś dochodzenie.

- Kto ci to powiedział?

- Człowiek, który nadal pamięta cię wystarczająco dobrze.

Na twarzy kobiety pojawiło się coś, co mogło być bólem.

- To rzadkość.

- Potrzebuję informacji o jednym kontrakcie.

- Nie zajmuję się już kontraktami.

- Tym bardziej mogę ci zapłacić.

Zaśmiała się krótko.

- Właśnie tak mówi człowiek Gildii.

- Nie jestem z Gildii.

- Jeszcze gorzej. Kupiec.

Spojrzała na jego rękawy, buty, sprzączkę pasa.

- Trzeci krąg licencyjny. Prywatna działalność. Port i kredyt. Niezbyt bogaty, ale wystarczająco, żeby uważać się za odpornego na biedę.

Taren zerknął na ubranie.

- Skąd...

- Ludzie zawsze pytają o magię, kiedy ktoś ich dokładnie obserwuje. Wejdz.

Wpuściła go do środka.

Pokój był niemal pusty. Stół, dwa krzesła, piec, półka z kilkunastoma książkami. Żadnych portretów, oznaczeń własności, listów zaadresowanych do gospodyni. Nawet rachunek przypięty obok drzwi zawierał tylko numer domu.

Kobieta wskazała krzesło.

- Jak mam się do ciebie zwracać? - zapytał Taren.
- Najczęściej mówią mi Mara.
- Czyli imię zostało.
- Imiona są słabszym towarem niż nazwiska. Wiążą człowieka z nim samym. Nazwisko wiąże go z innymi. Dlatego jest warte więcej.

Taren usiadł.

- Sprzedałaś je?

- Nie.

- Powiedziano mi...

- Straciłam je.

Mara nalała wody do dwóch glinianych kubków.

- Jest różnica pomiędzy sprzedażą a egzekucją.

Taren poczuł chłód.

- Dług?

Jej ręka zatrzymała się nad kubkiem.

- Wreszcie ciekawe pytanie.

Wyjął srebrzystą płytkę i położył na stole.

Mara nie dotknęła jej.

Przez kilka sekund patrzyła na datę.

Potem na niego.

- Czyje?

- Mojej córki.

- Co zawierał dzień?

- Miała umrzeć.

Mara wstała tak szybko, że krzesło przesunęło się po podłodze.

- Zabierz to.
- Potrzebuję pomocy.
- Zabierz płytkę i wyjdź.
- Dlaczego?
- Bo każdy, kto trzyma wezwanie nabywcy z datą śmierci, jest albo martwy, albo na najlepszej drodze.
- Ja też wolę pierwszą możliwość wykluczyć.
- To nie żart.
- Nie żartuję.

Mara spojrzała ku oknu.

- Kiedy doręczono?
- Wczoraj wieczorem.
- Termin?
- Zachód trzeciego słońca.
- Kto przyniósł?
- Kobieta w szarym płaszczu.
- Opisz ją.

Taren zrobił to dokładnie. Wzrost, sposób poruszania się, twarz, głos, brak broni, spokojne zachowanie.

Mara słuchała bez przerywania.

- Znasz ją? - zapytał.
- Nie.
- Ale coś rozpoznałaś.
- Sposób doręczenia.

Usiadła ponownie.

- Normalne wezwanie egzekucyjne przynosi urzędnik Gildii albo faktor posiadający licencję. Nabywcy nie pokazują

się sami. Jeżeli wystali kogoś spoza systemu, nie chcą formalnej egzekucji.

- Czego więc chcą?
- Żebyś się przestraszył.
- Udało im się.
- Nie wystarczająco, skoro tu jesteś.

Taren przesunął płytkę bliżej niej.

- Dziewięć lat temu sprzedałem ten dzień Sahrowi. Córka miała dziesięć lat. Umierała na gorączkę. Powiedział, że jeśli sprzedam dzień jej śmierci, nie będzie już należał do niej. Przeżyła.

- Jaką dostałeś cenę?
- Osiemdziesiąt siedem koron.

Mara zaklęła pod nosem.

- Co?
- To nie była cena rynkowa.
- Była śmiertelnie chorym dzieckiem. Zakładałem, że dzień bez przyszłości jest tani.
- Właśnie odwrotnie.

Taren znieruchomiał.

Mara wzięła kawałek węgla i narysowała na stole trzy krótkie linie.

- Przyszłość ma wartość z trzech powodów. Prawdopodobieństwo. Znaczenie zdarzenia. Możliwość przeniesienia. Zwykły dzień zdrowej osoby jest prawie bezwartościowy, bo może zawierać wszystko. Dzień, którego wynik jest niemal pewny, ma wysoką stabilność.

- Śmierć.

- Najwyższa stabilność, jaką można uzyskać.
- Więc Sahr mnie oszukał.
- Prawdopodobnie.
- Na ile?
- Nie chcesz wiedzieć.
- Chcę.
- Kilka tysięcy.

Taren poczuł gorzki smak w ustach.

Nie chodziło o pieniądze. Nawet nie o oszustwo.

Chodziło o to, że ktoś zapłacił osiemdziesiąt siedem koron za coś, co było warte fortunę.

A to oznaczało, że wiedział dokładnie, co kupuje.

- Kto był nabywcą?
- Właśnie tego próbowałam dowiedzieć się pięć lat temu.

Mara potarła bliznę przy szyi.

- Sahr zawierał kontrakty z pominięciem centralnego rejestru. Ktoś w Gildii pozwalał mu używać pustych numerów. Na papierze aktywa nie miały nabywców. W rzeczywistości znikwały.

- Dokąd?
- Do portfela.
- Czyjego?
- Nie wiem.
- Straciłaś nazwisko, próbując się dowiedzieć?

Mara uśmiechnęła się bez radości.

- Straciłam znacznie więcej. Nazwisko było tylko tym, co dało się zauważyć.

Taren czekał.

Po chwili podciągnęła rękaw lewej dłoni.

Na przedramieniu biegly cztery cienkie, blade linie układające się w geometryczny wzór. Nie wyglądały jak blizny. Bardziej jak ślady pod skórą.

- Egzekucja - powiedziała. - Miałam zabezpieczone zobowiązanie na wypadek złamania tajemnicy dochodzenia. Kiedy odmówiłam jego zamknięcia, uruchomili kontrakt.

- Sprzedałaś nazwisko jako zabezpieczenie?

- Nie świadomie. Podpisałam klauzulę służbową. Jak każdy inspektor. Nikt przez sześćdziesiąt lat jej nie egzekwował.

- A wobec ciebie tak.

- Bo znalazłam coś, czego nie powinnam.

Taren nachylił się.

- Co?

Mara przez chwilę obserwowała go w ciszy.

- Twój dzień nie był jedyny.

Wyjęła z półki cienki zeszyt, którego grzbiet rozpadał się od wielokrotnego otwierania. W środku znajdowały się nazwiska, daty i krótkie opisy.

- Zanim odebrali mi dostęp, przepisałam część rejestru Sahra. Nie wiedziałam jeszcze, co łączy kontrakty. Dopiero później zrozumiałam.

Taren przesuwiał wzrokiem po wpisach.

Kobieta, lat trzydzieści cztery. Utonięcie.

Mężczyzna, lat sześćdziesiąt jeden. Zawał.

Chłopiec, lat trzynaście. Upadek z wieży.